

Marek Wittbrot

**O włączęństwie
i innych
przypadłościach**

WYDAWNICTWO NAUKOWE
UNIwersYTETU
MIKOŁAJA KOPERNIKA

Toruń 2018

Spis treści

Jan Sochoń – Zatrzymać swój czas	7
I. O podróżowaniu	15
II. O rzeczach nieużytecznych	27
III. O miłości i innych problemach	41
IV. O prawdach małych i sprawach mało ważnych, zazwyczaj obojętnych	57
V. O ziemi obiecanej i nieznanym drogach, wędrówkach myśli i uczuć	79
VI. O życiu i umieraniu	107
VII. O mężczyźnie, kobiecie i wolności.	135
VIII. O poezji, muzyce, krzywoprzysięstwie i nadziei, której nikt spełnić nie zdoła	151
IX. O przyjaźni i samotności	181
X. O zwątpieniu i religii	215
XI. O nierozstrzygalnych problemach, jakie wynikają z czytania niektórych, nie zawsze pobożnych ksiązek	283
XII. O pisaniu i innych przypadłościach.	325
Indeks osobowy	375

Zatrzymać swój czas

Czytając tę książkę, wyobrażałem sobie, że jej autor leci samolotem z Paryża do Bremy albo dokądkolwiek indziej. Z małego, półokrągłego okna przygląda się z uwagą świetlistej linii horyzontu. Pod nią zauważa ciemne pole zbitych w betonowy asfalt chmur, ponad nią niebieskoszary błękit, wciąż się rozszerzający. Ten niedosiężny, harmonijny kosmos, odkryty i nazwany przez starożytnych Greków, rozbudza w nim odczucie piękna, niecodziennego estetycznego zadowolenia, ale równocześnie zasmuca: jest bowiem martwy, nieczuły na ludzkie spojrzenie, pozbawiony celu, nadziei.

Tymczasem on, Marek Wittbrot, ma świadomość całej niesamowitości przeżywanej sytuacji, może wybiegać ponad to, co dostrzegają ułomne zmysły, w pojęciach ogólnych ujmować i przekazywać w niezmienionej postaci określoną wiedzę, nadawać sens temu, co nie wie, po co jest. Może wreszcie wierzyć w Boga i Bogu, uznawszy Go za stwórcę wszelkiego istnienia. W ten sposób niejako wybiera się w duchową podróż, bo przecież chcąc cokolwiek zrozumieć, trzeba ruszyć się z miejsca, wsiąść

na rydwan, jak Parmenides, wsłuchać się w głos bogini, która wie, jak dojrzeć czystą, krągłą Prawdę, doznawać (już poza domysłami autora *O prawdzie i mniemaniu*) zmysłowo uchwytniej rzeczywistości, mierzyć się z czasem, przestrzenią i pamięcią, wnosząc, że każda chwila życia prowadzi ostatecznie do samego siebie, do niewidzialnej głębi duszy, do tego, co zasadniczo niewypowiedziane, choć być może przeczuwane w wewnętrznym oglądzie.

Sądzę, że ujęte powyżej rozpoznania, powiązane z faktem spotkań Wittbrota z Pawłem Hertzem, wybitnym pisarzem, poetą, tłumaczem i wydawcą, intelektualnym patronem książki paryskiego pallotyna, jak też z twórcami, którzy już odeszli, choć nadal promieniają swoją artystyczną osobowością, tkają zasadniczy rdzeń zapisów *O włóczęgostwie i innych przypadłościach*. Czym one są w sensie gatunkowym? Sprawozdaniami z odbytych podróży? Zapewne tak, ale nie tylko. Stanowią nadto rodzaj wyznania, wykraczającego jednakowoż poza osobiste przeżycia, przybierającego niekiedy wzniosły, retoryczny charakter o aforystycznym posmaku. Wittbrot zapisuje zdania, które, niemal jak frazy poetyckie, zapadają w pamięć, zmuszają do skupienia i uwagi. Przeczytajmy: „Każda podróż prowadzi do samego siebie”; „W życiu liczy się tylko to, co naprawdę się kocha, nawet jeżeli nikt nie potrafi tego dostrzec czy zrozumieć”; „Bez sztuki można żyć, lecz sztuka bez życia nie istnieje”; „Nawet w nieszczęściu nie wolno gasić światła serca”. Nic przeto dziwnego, że pewne fragmenty

prezentowanych zapisów zyskują walor mądrościowy, jako wyraz „poetyckiego poglądu na świat”. Przywołana formuła pochodzi od Erazma z Rotterdamu, który marzył, by teologowie cenili literaturę, a zwłaszcza poezję, według wzorów zawartych w pismach patrystycznych. Podobną opinię wygłaszał w późniejszym czasie John Henry Newman, przekonując, że „u chrześcijan poetycki pogląd na świat jest obowiązkiem”. W Polsce jej gorliwymi orędownikami byli przede wszystkim Janusz St. Pasięrb i Karol Wojtyła. Do tego wyjątkowego grona włączam również Marka Wittbrota, który na swój sposób sugeruje, że poezja wypowiada swoją tajemnicę i wiara czyni podobnie, choć jest głębiej zakorzeniona w Słowie, które definiuje fundamentalne sprawy życia i śmierci. W pewnym wymiarze jednak, zarówno język wiary i język sztuki, w węższym znaczeniu, poezji, zyskuje walor języka sprawczego, substancjalnego: wierzący i artysta chcą, aby przez to, co tworzą bądź mówią, w życiu coś się dokonywało, przekształcało.

Dlatego Wittbrot inicjuje eskapady w najróżniejsze strony, głównie Starego Kontynentu, by nie tylko wpleść swoje doświadczenie egzystencjalne w wielobarwny kobierzec poznawanych krain, kultur, ludzi, ale też by w nim samym doszło do określonej przemiany, by realizowały się potencjalności zawarte w jego człowieczej naturze. Co prawda, nikt z nas, przebywając na Ziemi, nie jest w stanie zrealizować swoich możliwości w stopniu doskonałym (będzie to możliwe dopiero przy udziale Boskiej łaski w porządku zmartwychwstania), ale może

wciąż się wzbogacać, napełniając niejako samego siebie treściami pochodzącymi z twórczej aktywności innych osób, nie wyłączając tych, którzy „wiecznie żyją” w swoich wielorakich dziełach tworzących dorobek ziemskiej cywilizacji. Książka Wittbrota zdaje sprawę z procesu takiego właśnie budowania i rozumienia samego siebie, kiedy to w przestrzeni życia zjawia się inny człowiek, z którym jesteśmy w stanie nawiązać szlachetną więź, wzajemnie się akceptować, cieszyć odmiennościami i nimi się wzbogacać. Różnice są przecież niebywale fascynujące.

Z tej racji istotną rolę w życiu odgrywa wzrok, uważany zresztą przez św. Tomasza z Akwinu za najważniejszy ludzki zmysł zewnętrzny. Czy nie zdarzało się nam, że zostaliśmy pociągnięci „czyimś wzrokiem” ku temu, co niespodziane, nieco tajemnicze, a co później okazywało się szczęściem codzienności. Uwagi Wittbrota rozsiane na wielu kartach jego zbioru opisują, jak zadziałał wzrok wielu ludzi, których w swoim życiu spotkał, a także jak wpłynął na niego wzrok Jezusa, podobnie jak – przy wszystkich oczywistych różnicach – zajaśniał w trudnej codzienności celnika Leviego, rzymskiego wszak kolaboranta. Oczywiście, Wittbrot nie jest żadnym „kolaborantem”, ale zawsze jest narażony na to, że przestanie doświadczać „wzroku” Jezusa, że zagubi ducha wierności. Broniąc się przed tego rodzaju pułapką, ujawnia najśmielsze decyzje, ryzykuje, przebija się przez mury, których zasadniczo uniknąć się nie da, bo ludźmi jesteśmy i niczego w swym życiu nie możemy być pewni, poza

solidnością Bożej opieki. Cokolwiek przedsięwzięmy to zaledwie zarys tego, co mogłoby namacalnie być. Wobec tajemnic, również tajemnic drugiego człowieka, usta zawsze drżą.

Toteż Wittbrot nie ubarwia tego, czego doświadcza w podróżach, unika błęgiego estetyzowania. Niekiedy jest nad wyraz szczery, innym razem wyraźnie powściągliwy. Prawda życia ma bowiem swe zasadnicze źródło w doświadczeniu chropowatości, przygodności, słabości ludzkiego bycia. Ale właśnie dlatego sztuka i literatura dysponują tak wielką mocą, potrafią poruszać do trzewi ludzkiego ducha, jako że zawierają w sobie niedopowiedzianą tajemnicę. Ze względu na nią Wittbrot często opuszcza swoje zatłoczone książkami i obrazami siedlisko przy ulicy Surcouf w Paryżu. Odwiedzając dalsze i bliższe okolice, chce nie tylko powiększać swoją dotychczasową wiedzę o świecie, lecz także coraz intensywniej i głębinowo wnikać w rzeczywistość. Podróżuje z powodu człowieka oraz z powodu jego dzieł, zwłaszcza tych, które budują wielobarwną tęczę, która zjawia się zwykle po burzy, lub przynajmniej po ulewnym deszczu, i łączy łukiem niebo z ziemią.

O jakich więc ludziach mówi pallotyński autor? Najpierw o kręgu swoich najbliższych: o rodzinie, matce, ojcu, braciach, przyjaciółach ze zgromadzenia św. Wincentego Pallottiego. Kreśli ich historię, wspomina kluczowe wydarzenia, które pomagały mu przezwyciężać egzystencjalne trudności, budowały zręby przyjaźni i miłości. Docenia osiągnięcia religijne, wydawnicze, kultu-

rotwórcze swojej Regii, zwłaszcza dokonania ks. Józefa Sadzika, którego spuściznę próbuje ocalić od zapomnienia. Następnie przywołuje tych artystów, z którymi związała go wieloletnia przyjaźń, albo tych, którzy odwiedzali sławne Centrum Dialogu, swego czasu stanowiące jednoczący przyczółek emigracyjnej i krajowej kultury polskiej. Jeżdżąc po Europie, wciąż pamięta o tych, którzy są mu bliscy; im znajduje się dalej od Paryża, tym bardziej tęskni za tymi, których kocha. Oto sekret podróżowania, które w pewnych sprzyjających sytuacjach duchowych przeradza się w pielgrzymowanie. Dzięki niemu poznajemy trochę inne środowisko artystyczne niż to propagowane w oficjalnych opracowaniach czy przewodnikach po kulturalnej Europie. Zauważamy miejsca osobne, nieodwiedzane przez tłumy turystów z Japonii czy nawet Ameryki, lecz ważne dla konsolidowania się tożsamości narodowej poszczególnych tzw. małych ojczyzn.

Wittbrot bywa czuły na szczegól malarski, architektoniczny, rzeźbiarski. Ceni formę, która musi być jednak ściśle powiązana z realnym przekazem odczytywanym w granicach niesionych przez zamysł dzieła. Nie lubi sztuki pozbawionej mimetycznych odniesień, choć w wyrazie formalnym mogącej niekiedy przybierać wymiar dzieła abstrakcyjnego. Rozumie, że ostatnimi czasy ulegały przemianom nastawienia i upodobania intelektualne, że realizuje się teraz odmienne od tradycyjnych, modernistycznych praktyki artystyczne, że akceptowane są różne filozoficzne odniesienia i religijne światopoglądy, że socjologiczno-kulturowe przemiany

cywilizacyjne spowodowały, niekiedy wręcz rewolucyjne, zawirowania w sferze szeroko pojętej sztuki i literatury.

Mimo to trzyma się twardych wyznaczników cechujących kulturę europejską, nierozzerwalnie zjednoczoną z chrześcijańskim stylem życia i wartościami ewangelicznymi. Ceni pisarzy, poetów, malarzy czy rzeźbiarzy, niepozbywających się więzi z naturą, reagujących na moralne sfery życia. Drażnią go natomiast pseudonowoczesne wynaturzenia, zgoda na twórczość wolną od jakichkolwiek wyznaczników, zwłaszcza tych powiązanych z pięknem, będącym synonimem pełni bytowej. Jeżeli krajobraz, zaułek toskańskiego miasteczka albo obraz czy grafika nie wzbudzają w nim upodobania (*visum placet*), wówczas nie dochodzi do aktów kontemplacyjnych. Wittbrot przyjąłby zapewne propozycję Tomasza z Akwinu, że piękno wymaga doskonałości rzeczy, które przedstawia, właściwej proporcji, czyli harmonii oraz blasku. Pojmuje, że wolność każdego artysty wiąże się z odpowiedzialnością i czułością wobec najskromniejszego wręcz konkretnego. Ma ona granice wyznaczone przez możliwość odarcia człowieka z jego naturalnych przywilejów i dobra. Sztuka hamująca jego rozwój, pozbawiona wrażliwości na tajemnicze aspekty życia, niepobudzająca do moralnie uczciwej aktywności, wywołuje u Wittbrota niekłamany sprzeciw. Z tej racji częściej przesiaduje on w galeriach sztuki dawnej niż pseudoawangardowej. Woli wszak uporządkowany ogród niż zbiór chwastów publicznie uznanych za godny akceptacji wyraz artystycznej ekspresji.

Ta książka ujawnia jeszcze coś szalenie ciekawego, mianowicie ukazuje Wittbrota jako człowieka skłonnego do mówienia, do rozmowy, do dzielenia się osobistymi wrażeniami oraz doświadczeniami egzystencjalnymi. Kto go bliżej zna, wie, że jest z natury małomówny, wyciszony. Trudno namówić go do zwierzeń i uczestnictwa w zbiorowych dyskusjach. Okazuje się jednak, że pisanie wyzwala u niego zdolność do odślaniania duchowych drgań i uniesień; sprawia, że znika poczucie onieśmienia i obawy, a pojawia się twórcza odwaga oraz świadomość własnej wartości. Życie przedstawia mu się jako podróż w poszukiwaniu piękna, nie tylko estetycznego, ale i moralnego, kiedy w żywioł spotkania człowieka z człowiekiem wchodzi dobro, jak też otwartość na potrzeby innych osób.

Po przeczytaniu *O włóczęgostwie i innych przypadłościach* pojmujemy, że warto zatrzymać swój czas, uczynić z niego narzędzie porozumienia i wdzięczności, żyć godnie na miarę istot stworzonych na Boży obraz i podobieństwo. Czy coś bardziej pobudzającego do działania mogło nas na tym przygodnym i zbolałym świecie spotkać?

Jan Sochoń

Warszawa-Bielany, 19/20 maja 2018 r.